



Edmund Jezierski

20

Za Wiarę i Ojczyznę

Obrazek Prawdziwy
z Roku 1863



Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego

Nr inw. 4522

Warsze



Edmund Jezierski

**Za Wiarę
i Ojczyznę**

**Obrazek Prawdziwy
z Roku 1863**

Wydanie 1895 roku

Cichy zazwyczaj klasztor oo. kapucynów w Łądzie, ziemi kaliskiej, nieopodal Korłina, w czerwcu r. 1863 zgoła niezwykły przybrał wygląd.

Boć coprawda i niezwykłe to były czasy....

Od paru miesięcy cała ziemia polska ogarnięta była płomieniami potężnej zawieruchy.... Uciśkany w najokrutniejszy sposób przez rząd moskiewski naród, w rozpaczonym wysiłku schwycił za broń, by walczyć o wolność swoją, o wolność swej ziemi rodzinnej, nadewszystko ukochanej,— lub zginąć....

I przeciwko potężnym armjom carskim, zbrojnym w najnowszy oręż, w działa i karabiny, wystąpiły szczupłe gromady powstańców, z gołemi nieomal rękami, gdyż niewielu z nich zaledwie dubeltówki myśliwskie posiadało, a kosa na sztoro osadzona, lub też kij poprostu oręż pozostałych stanowiły.

Mimo to jednak szli oni na śmierć i zagładę pewną, pełni zapału i nadziei, że śmiercią swoją może wolność Ojczyźnie wywalczą, że zabłyśnie nad nią wreszcie przejasna zorza wolności, że dzięki ich męstwu i poświęceniu Polska zrzuci z siebie jatzmo moskiewskich najeźdźców.

I tułały się po borach i lasach polskich gromady straceńców, ginących bezimiennie, bez sławy, od kul i szubienicy, lekceważących życie, byle tylko Polskę wolną widzieć mogli....

I szedł po całej ziemi polskiej potężny zew do walki o wiarę i Ojczyznę, a pierwszymi w nim byli kapłani, z kazalnicy, ze stopni ołtarza nawołujący lud polski do walki z wrogiem.

Takim kapłanem-kaznodzieją, wymownym, pełnym natchnienia słowami wzywającym wszystkich do obrony przed Moskalami, był o. Maksymilian Tarejwo, kapucyn w Łądzie, nieopodał Konina i Słupi.

Szczyły, zawiędy, słynący daleko z nauki, pobożności i skromności, cichy, cały w modlitwie zatopiony, znalazłszy się na kazalnicy, przeistaczał się zupełnie.

Rósł wtedy, potężniał, wyrastał na olbrzyma, czarne oczy jego miotaly błyskawice, a głos przybierał brzmienie grzmotów.

To też ze wszystkich stron do Łądu napływali pobożni, płonący chęcią posłyszenia go, pokrzepienia ducha....

Roilo się w kościele od okolicznej szlachty i włościan, z zapartym tchem w piersi słuchających słów natchnionego mówcy.

A wnet potem ginęło wielu z młodych i sta-

rych w okolicy, natomiast zastępy powstańcze wzrastały o nowych bojowników....

Lecz i wróg czuwał.

Znaleźli się nikczemni szpiedzy i zdrajcy, i wieść o kazaniach o. Maksymiljana doszła do uszu przedstawicieli władzy moskiewskiej.

I oto w piękną niedzielę czerwcową, gdy tłumy pobożnych przepelniały kościół i cmentarz, na drodze ukazał się olbrzymi kłęb kurzawy. Wyłonił się wnet z niego pędzący kłusem oddział kozaków, którzy i klasztor i kościół otaczać zaczęli.

Jęk rozpaczny przebiegł przez tłum, który odgadł, po kogo oni przybywają, i rozległy się wołania :

— Ratować o. Maksymiljana, schować go przed wrogami.... Nie dać go im na zagładę !....

A on stał na kazalnicy, oblany złotymi promieniami słońca, każąc potężnym głosem o tem, jak “winnica Chrystusowa przez heretyckich schizmatyków od czasów rozbiorowych jest w Polsce niszczone”....

A gdy rozległy się wołania o zbliżaniu się kozaków, miał przerazić się, miał zamilknąć, wzniósł jeszcze głos natchniony i wołać począł :

— Oto zbliża się chwila, w której życiem swoim mam dać świadectwo prawdzie.... Schizmatycycki Moskal nie ulęknie się świątyni Pańskiej

i sięgnie do niej zuchwałą i pełną złości ręką, byle tylko zgnieść tego, który złość jego i nienawiść ujawnia.... Bracia.... nie ulękniemy się go.... Pokażemy, że miłość wiary i Ojczyzny silniejszą jest wśród nas od złości jego.... I przyjdzie czas, że przebierze się miara nieprawości jego, że runie potężne do czasu tego państwo moskiewskie, jak ów bałwan o glinianych nogach, a ziemię i potęgę jego posiadą narody, które do czasu tego w zaślepieniu swoim uciskał i gnębił

Jakby w zachwyceniu słuchano słów jego, nie zważając na tumult, jaki przy wejściu czynili kozacy, usiłujący wedrzeć się do wnętrza kościoła.

Skończywszy kazanie o Maksymiljan padł na kolana i pełnym głosem zaintonował hymn pełen błagania i mocy:

“Boże, coś Polskę”.... a za nim pochwycili go wszyscy obecni.

Tymczasem na kazalnicę wszedł o. przeor, i ująwszy kaznodzieję za ramię, mówił do niego szeptem:

— Bracie, ratuj się.... kozacy przybyli po ciebie....

A o. Maksymiljan, zwracając ku niemu pełne słodyczy i jakiejś zaziemskiej jasności spojrzenie, odrzekł:

— Azaliż, ojcze, sądzisz, że ulęknę się śmierci za wiarę i Ojczyznę?....

Lecz już z pośród zebranego tłumu biegły do niego błagalne wezwania:

— Ratuuj się, ojcze, ratuj.... nie daj, by wróg triumfował....

Otaczające kazalnicę panie ukryć go chciały wśród siebie, wśród szerokich sukien-krynolin. według ówczesnej mody noszonych.

O. Maksymiljan przez chwilę klęczał, módląc się żarliwie, wreszcie wstał i rzekł:

— Nie lękajcie się o mnie.... Gdy Pan zechce, nie dopuści, by nawet włos spadł z głowy mojej.... Wszystko w rękach Jego....

I wyprostowany, z oczyma wzniesionemi do góry, szepcąc słowa modlitwy, zstępować zaczął z kazalnicy, a przeszedłszy wśród rozstępujących się tłumów, kornie chylących czoła przed błogosławiącą ręką jego, znikł we drzwiach zakrystji.

W samą porę....

Kozactwo, otoczywszy klasztor i kościół, wypędzać z niego zaczęło wiernych, nie szczędząc uderzeń nahajkami i szablami, a gdy kościół opróżnionym został, rozpoczęli poszukiwania.

Napróżno jednak....

Natchniony kaznodzieja, tak gorliwie przez nich poszukiwany, znikł bez śladu.

Zżymali się z wściekłości, dopytując się o niego przeora i zakonników, lecz na wszystkie pytania jednaką otrzymywali odpowiedź:

— Nie wiemy.... Szukajcie go....

I szukali go w całym kościele, w podziemiach grobowych, w trumnach pogrzebanych tam dostojników, w klasztorze, w celach i kryjówkach, i pomimo grózb i wymyślań, jakich nie szczędzili zakonnikom, nigdzie znaleźć nie mogli....

O. Maksymiljan Tarejwo znikł bez śladu....

Zawiedzeni w swych nadziejach, późnym wieczorem odjechali, odprowadzani pełnemi nienawiści spojrzzeniami zebranego ludu.

* * *

Lecz próżne były rachuby mieszkańców, że kozacy, nie znalazłszy swej ofiary, odjadą, zaniechają poszukiwań.

Zasiedli oni w sąsiednim miasteczku Łądku i, obstawiwszy czujnymi wartami klasztor, tak, że nikt bez ich wiedzy wyjść ani wejść do niego nie mógł, czekali cierpliwie.

A czekanie to zaciążyło nad mieszkańcami gorzej od dopustu Bożego.

Zabierali bez pytania wszystko, grabili i rabowali, dopuszczając się gwałtów i nadużyć, nie oszczędzając nikogo.

A gdy popili się, w miasteczku całym i okolicy aż rozlegało się od rńch hulaszczycy śpiewów, rozbijania szyb i naczyń, krzyków i lamentów gnębionych mieszkańców....

Zamykali się wtedy wszyscy w domostwach swoich, obawiając się nawet wyjrzeć na ulicę, obwarowywali się wprost, byle tylko nie dopuścić wstępu niepożądanym a straszliwym gościom.

A na wszelkie prośby i zażalenia władz miejskich, dowódca kozaków miał jedną odpowiedź:

— Oddajcie nam tego buntownika, a wnet pójdziemy sobie precz....

Codziennie też jeździł do klasztoru; z wielką butą wchodząc do przeora, świątobliwego starca. o. Emiljana Ołtarzewskiego, pytał:

—Nu, cóż, ojciec.... powiecie mi, gdzie ten buntownik?.... oddacie go nam, abyśmy go powieścić mogli?....

A zmęczony przeor, wznosząc oczy ku niebu, odpowiadał:

— Bóg mi świadkiem, że nie wiem.... Szukajcie go....

Wpadał wtedy kozak w szal wściekłości, kłął i wymyślał, nie szczędząc siwych włosów kapłana.

Porywał go i otoczonego kozakami, włóczył po wszystkich zakątkach klasztoru, zaglądnając do wszystkich kryjówek.

I próżno przysięgał mu świątobliwy przeor, że nie wie, gdzie przebywa poszukiwany ó. Mak-

symiljan.... Próžno i inni zakonnicy, badani przez kozaków, przysięgali, że nie wiedzą nic o tem.

Nie wierzono im, i coraz zacieklej czyniono poszukiwania, rozbijając grobowce, profanując kości zmarłych, w trumnach spoczywających.

Napróżno jednak....

O. Maksymiljan Tarejwo znikł bez śladu.

* * *

A jednak i przeor i zakonnicy z czystem sumieniem przysięgać mogli, że nie wiedzą, gdzie przebywa poszukiwany.

Nie wiedzieli istotnie, gdyż przeor, pragnąc być czystym w sumieniu swoim, by móc przesłać dowcom śmiało odpowiedzieć, że nie wie, gdzie on przebywa, choć domyślał się, że przebywa w obrębie klasztoru, o kryjówce jego powiadomionym nie był.

A o. Maksymiljan Tarejwo tymczasem, korzystając z tłoku, ukrył się za wielkim ołtarzem w jednej z licznych skrytek.

Tam, wciśnięty w rodzaj szafy, przebywał dni całe na modlitwie, nawiedzany tylko nocami przez zakrystjanina, Wawrzyńca, który mu żywność i nozyny ze świata przynosił.

Co noc, przy bładem, migotliwym światełku lampki wiecznej, płonącej przed Przenajświętszym

Sakramentem, wychodził kapłan z ukrycia swego i, zasiadłszy w ławce, gawędził z zakrystjaninem.

Słuchał opowieści o nadużyciach i zbrodniach kozaków, a serce jego ścisnął ból niewysłowny.

— To wszystko dla mnie i przeze mnie.... — powtarzał.

I w głowie jego rodziła się myśl, by położyć kres tej niedoli ludzi, a to przez oddanie siebie w ręce oprawców.

Zwierał się z tym zamiarem zakrystjaninowi, lecz ten, całując go z pokorą w rękę, mówił:

— Nie czyn, ojcze, tego.... W tobie cała nadzieja nasza.... Wszystko zniesiemy, wszystko przecierpimy, byłeś ty ocalał, byłeś ty wyszedł cało z tej opresji....

I codzienie słuchał o Maksymiljan straszliwej relacji:

Tego pobito, tego pokaleczono, temu mienie zrabowano, a tego znów uwięziono i powleczono do miasta, gdzie przed sądem stawić go miano....

Słuchał, a ciężkie łzy żalu i bólu płynęły z oczu jego.

— To wszystko dla mnie i przeze mnie.... — powtarzał znów.

A gdy zakrystjanin, skończywszy swą relację, zabierał pusty koszyk i szedł z kościoła, by przemknąć się między rozstawionemi strażami, nim świt

zabłyśnie, zmęczony zakonnik padał na kolana przed wielkim ołtarzem, wznosząc ku cudownemu wizerunkowi twarz łzami zalaną, modlił się żarliwie za tych, którzy dla niego prześladowania znosili, i za prześladowców swoich....

A skoro tylko pierwsze blaski świtu różowicie zaczęły okna kościelne, gdy rozlegać się zaczęły wezwania na modlitwę, szedł, by schronić się w kryjówce swojej.

Zaczynał się nowy dzień, dzień męki i prześladowań....

* * *

Słynęła w miasteczku Łądzie stara karczma, należąca od wielu lat do Pinkusa Żłotnika, którego jeszcze ojciec, dziad, pradziad w karczmie tej gospodarzyli.

Stary Pinkus słynął daleko z najlepszej gorzałki, nie ochrzczonej wodą, najlepszych chałek i śledzi.

To też do niego ściągali nie tylko chłopci i mieszczanie, ale nierzadko zajeżdżał na krótki odpoczynek niejeden ze szlachty okolicznej, nie licząc drobniejszych dzierżawców i rządców.

U niego też zatrzymywała się na postój starszyzna kozacka, a wielką izbę karczemną przepel-

niali zazwyczaj kozacy, pijący na umór, a potem wyprawiający dzikie awantury.

Niebardzo rad był tym gościom stary Pinkus, gdyż odstraszała mu oni innych, dających większe zyski, a przytem i z zapłatą od tych gości niezawsze było w porządku.

Rzadko który z nich płacił, a biada Pinkusowi, gdy się o zapłatę upomniał. Otrzymywał wtedy albo pięścią w kark, albo też nahajką przez grzbiet.

Wszelkie skargi, zanoszone do starszyny, były bezowocnemi, gdyż oficerowie nie byli lepszymi od szeregowców.

Tak samo pili i tak samo płacili....

Stary Pinkus też z rozpoczą w duszy patrzył na to wszystko, obliczając że dłuższy pobyt niepożądanych gości zrujnuje go do szczętu, i zasyłał modły do Jehowy, ażeby prędszej sobie poszli.

Błagał go też, ażeby prędszej znaleźli ojca Maksymiljana, gdyż wtedy już nie mieliby co w karczmie jego robić.

Wykombinował też, że o miejscu schronienia o. Maksymiljana dobrze musi wiedzieć zakrystjanin Wawrzyniec, który, czując niczem niepomowany pociąg do gorzałki, prawie co wieczór ukradkiem, by ks. przeor się nie dowiedział, wślizgiwał się do karczmy i, zasiadłszy w ciemnym kąćku, wychylał parę czarek, poczem wysu-

wał się z karczmy i chwiejnym krokiem wracał do klasztoru.

Pinkus postanowił też z tego skorzystać, byle prędzej pozbyć się kozaków. Upatrzawszy pewnego wieczoru, że dowodzący kozakami oficer był trochę przytomniejszy i łaskawszy, podszedł do niego i gładząc siwą brodę, rzekł:

— Panie oficerze... Mam ja sposób dowiedzenia się, gdzie się kryje ten kapucyn...

Zaiskrzyły się oczy oficerowi, gdy posłyszał te słowa.

I on rad był wrócić do miasta, a przytem otrzymać awans i nagrodę.

— Mów, żydzie! — zawołał — a car batiuszka nagrodzi cię za to.

Pochylił się ku niemu Pinkus i szeptem w plan swój wtajemniczać go począł.

Zaśmiał się dziko kozak i zawołał:

— Tyś czort prawdziwy, żydzie! Chyba ci ten kum twój ten plan podsunął. Dawaj tu tego zakrystjana!

— Powoli... powoli, panie oficerze — rzekł mu z powagą Pinkus — tak raptownie to nie można. To potrzeba spokojnie, z rozważą, ażeby go nie spłoszyć...

— Nu, ładno, rób wszystko, co potrzeba...

Obiecuj mu co chcesz, bylebyśmy tego mnicha w swoje ręce dostali.

— Pan oficer pozwoli do tego pokoju — rzekł Pinkus — a ja tego Wawrzyńca tu przyprowadzę, gdy tylko będzie gotów....

Kozak wszedł do wskazanego mu przez Pinkusa ciemnego i ciasnego pokoiku, a ten wyszedł do izby karczemnej, gdzie, zasiadłszy za szykwawsem, wpatrywał się we drzwi, rychło przez nie wsunie się oczekiwany z takim upragnieniem Wawrzyniec.

Niedługo czekał. Zaledwie zmierzchać się zaczęło, wsunął się tenże chyłkiem i, zasiadłszy na ławie za stołem, zażądał zwykłe pół kwarty gorzałki.

Podał mu je, jak zwykle, jeden z wnuczków Pinkusa, a gdy wychylił kilka czarek, podszedł do niego sam Pinkus i, przysiadłszy na ławie, mówić zaczął:

— Nu, pan Wawrzyniec to rzadki gość u mnie.... pokaże się tylko na chwilę i ginie potem. Moznaby myśleć, że i w nocy ma jaką robotę w klasztorze....

Drgnął na te słowa Wawrzyniec, co zauważywszy Pinkus, począł jeszcze słodziej mówić:

— Nu, ja wiem, że i tam, w klasztorze, niewesoło z powodu tego księdza.... I my też cierpi-

my.... oj, oj.... jak cierpimy.... i miasto całe, i moja karczma.... Oni całe beczki wypijają.... Oj, żeby oni już poszli, to mybyśmy wszyscy odetchnęli....

— Wola Boża — dodał po chwili — ale ten ksiądz mądry, dobrze się schował....

I na to nie odrzekł nic Wawrzyniec, Pinkus zatem, widząc, że nie jest on jeszcze dostatecznie pijany, ciągnął dalej:

— Ale pan Wawrzyniec to mój stały i dobry gość.... Dla takich gości ja nie pożałuję lepszego trunku, niż zwykła, śmierdząca gorzałka.

I przywoławszy wnuczka, rozkazał mu podać butelkę araku.

Wawrzyniec aż się uśmiechnął radośnie, zobaczywszy butelkę ulubionego trunku. Pinkus nalał mu szklaneczkę jedną i drugą, które wychylił z chciwością, poczem rzekł szeptem:

— Gdyby pan Wawrzyniec chciał, toby codzień mógł tak pijać....

Umysł pijaka nie był do tego stopnia omroczonym, ażeby nie rozumiał, co do niego mówiono.

— A to jakim sposobem, żydzie? — zapytał, bełkocąc.

Teraz Pinkus rozumiał, że nadchodzi pora poruszenia głównej sprawy, nalał mu więc czarękę i rzekł:

— Pijcie, pijcie, panie Wawrzyniec, albo lepiej chodźcie ze mną do alkierza, to pogadamy.

I chwiejącego się na nogach zakrystjanina poprowadził do pokoiku, w którym siedział ukryty oficer kozacki.

Ledwie go dostrzegł Wawrzyniec, gdyż padł bezsilny na ławę i chciwie wychylił czarękę nalanego mu przez Pinkusa araku.

Wtedy ten znowu nachylił się nad nim i szepnął:

— Czybyście chcieli tak sobie codzień pić arak i nic nie robić?

I rozsypał przed nawpół przytomnym na stole kilkanaście sztuk złota.

Zaśmiały się oczy zakrystjaninowi, gdy zobaczył je i chciwą rękę po nie wyciągnął.

Lecz przezorny Pinkus nakrył je dłonią i, śmiejąc się szatańsko, rzekł:

— O nie, tak prędko tego dostać nie można....

— A za co je dostanę? — wybełkotał z trudem Wawrzyniec.

— Powiedz, gdzie jest schowany ten ksiądz — syknął Pinkus, nachylając mu się do ucha.

Resztki przytomności błysnęły w mózgu zakrystjanina.

Cofnął się i, przybierając poważny wyraz twarzy, odrzekł:

— Nie wiem....

Ale Pinkus nie zasypiał gruszek w popiele. Do czaraki nalał nową porcję araku z butelki, po stole potoczyły się nowe, błyszczące sztuki złota.

— Nu, powiedz — szeptał kusiciel — dostaniesz pięćset rublów....

A gdy na twarzy Wawrzyńca odbiło się wahanie, począł dodawać:

— Nu, sześćset, siedemset....

Gdy jednak i to nie pomagało, siedzący w kąciку oficer syknął niecierpliwie:

— Daj mu tysiąc....

A Pinkus za nim powtórzył jak echo:

— Nu, dostaniesz cały tysiąc.... złotem.... samymi imperjami....

Ta liczba oszołomiła nieszczęsnego Wawrzyńca. Nigdy tak znacznej kwoty pieniężnej nie posiadał....

Spojrzał chciwie na rozsypane złoto i spytał:

— A dacie mi je zaraz?....

— W tej chwileczce, jak tylko księdza znajdziemy.

Wtedy Wawrzyniec, nalawszy sobie sam pełną czarękę araku, wychylił ją i wybełkotawszy:

— Niech tam szukają w kościele, za wielkim ołtarzem.... — zwałił się nieprzytomny z ławy na ziemię.

Na to tylko czekał oficer kozacki, porwał się z miejsca i wypadłszy z izdebki, wezwał do siebie podoficera i rozkazy mu wydawać zaczął.

Lecz jedna mu się nastęczyła trudność.... O tej porze ani jednego kozaka trzeźwego nie było. Wszyscy oni pijani leżeli pod ławą w izbie karzemnej, lub też hulali po mieście.

Z trudem udało mu się zebrać garść przytomniejszych. Przy ich pomocy mniej pijanych powleczono do studni, gdzie kilkoma wiadrami wylanej na głowy zimnej wody przywrócono im przytomność.

Wkrótce potem kilkudziesięciu kozaków pod wodzą oficerów w milczeniu opuszczało miasteczko, dążąc w stronę klasztoru.

* * *

Słońce weszło już wysoko, gdy kozacy otoczyli klasztor.

Zakonnicy, zdumieni nieobecnością Wawrzyńca, sami przygotowali wszystko do nabożeństwa. Zebrani w świątyni, odprawiali modły poranne, gdy dał się słyszeć tętent kopyt końskich, a po chwili z gwarem i brzękiem ostróg wszedł oficer, otoczony kozakami, i skierował się prosto w stronę pobladłego z przerażenia przeora.

— Nu, batuszka — rzekł z piekielnym śmie-

chem — wy i teraz utrzymywać będziecie, że nie wiecie, gdzie ten ksiądz buntownik przebywa?...

— Nie wiem — odrzekł z powagą sędziwy kapłan — i przysiąc na to jestem gotów.

— Nu, to my ci go zaraz pokażemy — rzekł, śmiejąc się, oficer i, otoczywszy drżących z przerażenia zakonników kozakami, sam z kilkoma skierował się za wielki ołtarz, gdzie szukać zaczął, niszcząc wszystko i łamiąc.

Tym razem niedługo trwały poszukiwania.... W jednej z szaf wynaleziono ukrytego o. Maksymiljana. Wyciągnięto go z niej i wśród śmiechu i naigrawań wyprowadzono z kościoła.

— Teraz, batiuszka — rzekł oficer do przeora — będziesz wraz z swoimi mnichami tłumaczyć się przed sądem.... A tego zbrodniarza zabierzemy ze sobą.

Skępowali kozacy sznurami ręce i nogi o. Maksymiljana, w milczeniu, bez słowa skargi szepczącego modlitwy, i zatrzymawszy przejeżdżający drogą wóz pusty od wożenia kamieni, wrzucili nań więźnia i, otoczywszy wóz wkoło, bijąc nieszczęsną ofiarę nahajkami, powieźli do miasteczka, a stamtąd do Konina, do więzienia.

Jednocześnie drugi oddział kozaków otoczył wkoło przeora i zakonników i, nie pozwalając im

nie zabrać z klasztoru, pieszo popędził drogą do Konina, nie szczędząc uderzeń nahajkami.

* * *

Zakrystjanin Wawrzyniec przebudził się z pijackiego snu dobrze już koło południa.

Porwał się z ziemi, przetaił oczy i z przerażeniem patrzył na wdzierające się przez okna snopy złocistych promieni słońca....

O Jezu!.... przespał nabożeństwo poranne.... nie zaniósł o Maksymiljanowi jedzenia.... Co teraz będzie?....

Powoli, jak przez mgłę, przypominał sobie wszystko, co zaszło, aż wreszcie jak obuchem raziło go przypomnienie o popełnionej zdradzie Judasza....

Opadł na ławę nawpół przytomny, gdy naraz w izdebce zjawił się stary Pinkus i, zbliżywszy się do niego z obłudnym uśmiechem, trzymając w ręku butelkę z gorzałką i czarękę, rzekł:

— Ny, panie Wawrzyniec, to panu dobrze robi....

Podawał mu wódkę, a jednocześnie kładąc na stole sakiewkę, wyładowaną złotem, dodał:

— A to pan oficer zostawił dla pana....

Oprzytomniał doreszty Wawrzyniec, poczem spytał:

— Gdzie kozacy?

— Pojechali już sobie....

— A co.... co.... z o. Maksymiljanem? — zapytał z trudem.

— Nu, oni jego zabrali ze sobą....

Zachwiał się, posłyszawszy to Wawrzyniec.

A więc zdrada jego wydała już owoce....

Chwilę siedział w głębokiej zadumie, poczem spytał szeptem:

— A co z innymi ojcami?....

— Kozacy poprowadzili ich do miasta.

Czas jeszcze pewien siedział na ławie Wawrzyniec, poczem porwał się z miejsca, wychylił jedną po drugiej trzy miarki wódki, porwał sakiewkę z imperjałami i wypadł z karczmy.

Na ulicach miasteczka ruch panował niezwykły.... Zbierali się tam gromadkami mieszczanie i szeptem czynili sobie zwierzenia z tego, co zaszło w klasztorze, przejęci do głębi wiadomością o aresztowaniu o. Maksymiljana i zakonników....

Rozeszła się też wieść o tem, że zdrajcą był Wawrzyniec.

To też na widok idącego z karczmy, chwiejącego się na nogach, rozczzerwionego od nadużycia trunków zakrystjanina ucichły szepty, gromadki rozchodzić się zaczęły, a ludzie z pogardą odwracali się od niego.

Przeszedł on też przez ulice miasta i skierował się do klasztoru.

Pusto tam było, cicho, a gdy wszedł do kościoła, oczom jego przedstawiły się ślady straszliwej gospodarki kozaków.

Postał tam chwilę, poczem, jakby nagłym lękiem i grozą zdjęty, skierował się do swojej izby. Lecz i tam ogarnęła go przerażająca pustka....

Nie mógł w niej wytrzymać, wyszedł też po chwili i zawrócił do miasteczka.

I znów uciekali przed nim ludzie, a z różnych stron biegły za nim wyzwiska:

— Zdrajca!.... Judasz!.... Sprzedawczyk!....

Skierował się prosto do karczmy i, wszedłszy tam z wielką butą, zakrzyknął zaraz od progu:

— Wódki dla mnie, całą kwartę, i dla całej kompanji.... Ja płacę....

Ucichł gwar w karczmie, gdy się ukazał, a stary Marcin bez nogi, żebrak i słynny na okolicę pijanica, z którym nikt przestawać nie chciał, zawołał:

— Pij sobie sam, Judaszu przeklęty!....

Upadł więc na ławę w kąciку swoim i czarkę za czarką pić zaczął.

Noc już zapadła, gdy wstał z miejsca, rzucił Pinkusowi imperjała i, chwiejąc się na nogach,

wyszedł z karczmy.

Ciemności nieprzeniknione panowały wokoło, niebo powleczone było chmurami, a wicher wył przeciągle.... Coraz błyskawica przedzierała oponę chmur i rozlegał się daleki odgłos grzmotu.

Wawrzyniec doszedł tak do klasztoru i przez rozwarte drzwi wszedł do kościoła.

Pustka go tam ogarnęła, wybiegł też śpiesznie i, trwogą bezgraniczną przejęty, biec przed siebie zaczął.

W omroczonym wódką umyśle jego wydawać mu się zaczęło, że słyszy w poświście wichru:

— Judaszu!.... Judaszu!....

Naraz zatrzymał się.... W świetle błyskawicy ujrzał przed sobą krępą wierzbę, rosnącą przy drodze, wiodącej do klasztoru.

I jakby jakiś głos tajemniczy szeptać mu zaczął:

— Zdradziłeś.... Judasz jesteś.... Powieś się....

Nie mógł mu się oprzeć.... Bezwiednie prawie namacał ręką sznur, którym był przepasany.... Odwiązał go, przerzucił przez gałąź i, zrobiwszy pętlę, wsunął w nią głowę....

A z kieszeni jego wypadła sakiewka z judaszowskieni imperjałami, a zdradzieckie złoto, wypadłszy przez rozdarte płótno, rozsypało się po drodze.

A wichura straszliwa, z piekielnym chichotem wstrząsała drzewem....

Burza niebывała rozszalała się nad klasztorem....

* * *

A następnego dnia przechodzący drogą znaleźli wiszące na wierzbie zimne zwłoki zakrystjanina Wawrzyńca, u którego stóp walało się judaszowskie złoto.

Pogrzebano go na rozstaju, a złoto rozdano ubogim.

* * *

Wiść o aresztowaniu o. Maksymiljana lotem ptaka rozeszła się po okolicy.

W miasteczku już tłumy ludności gromadziły się na ulicach, pełne wzburzenia i rozpacz z powodu aresztowania świątobliwego zakonnika.

A gdy ukazał się na drodze otoczony przez kozaków wóz, wiozący nieszczęśliwego więźnia, wśród tłumu rozległ się i jęk pełen bólu, i płacz, i okrzyki zgrozy i oburzenia.

— Ojca naszego wiozą!.... opiekuna!.... — wołano.

— Na mękę go wiozą!.... na tortury!.... na śmierć pewną!....

— Katy, zbrodniarze!... łotry!...

I niejedna pięść zaciśnięta pogroziła kozakom, z niejednych ust w ślad za nimi wybiegło przekleństwo.

Lecz kozacy szybko nahajkami oczyścili drogę i popędzili z dzikim krzykiem naprzód, wioząc dalej ofiarę swoją....

A poprzez ich dziki wrzask, przez tętent kopyt końskich i płacz tłumu dały się słyszeć donośnym głosem wyrzeczone przez o. Maksymiljana słowa:

— Niech wam Bóg błogosławi!... Niech zbawi Polskę!...

Reszta słów zginęła w tumulcie....

* * *

Wiadomość o tem, że wiozą do więzienia o. Maksymiljana, dobiegła do Konina lotem strzały.

Poruszyła ona całe miasto, tak że tłumy wybiegły na ulice celem przyjęcia więźnia.

Na twarzach wszystkich smutek się malował, rozpacz i żal przejmowały mieszkańców.

Gromady zbierały się na ulicach, rozprawiając o tem, co się stało, ubolewając nad niedolą świątobliwego kapłana.

Aż wreszcie od strony Łądu ukazał się tuman kurzawy, z którego po chwili wyłonili się kozacy, otaczający wóz, wiozący ojca Maksymiljana.

Pędzili galopem, uderzeniami nahajek torując sobie drogę wśród tłumu, tak że zebrani na ulicach ludzie zaledwie dostrzegli wybladłą, podrzucaną po kamieniach bruku postać o. Maksymiljana.

Ze skroni jego wąskiem pasemkiem płynęła krew, purpurową smugą obejmując czoło jego.

Cały ten piekielny orszak przemknął przez miasto jak jakaś zjawa piekielna, poczem znikł we wrotach więzienia w Koninie, które się za nim z trzaskiem zamknęło.

Do późnej godziny krążyły wokoło więzienia tłumy ciekawych, lecz wysokie mury nie pozwalały nic widzieć, a stojąca przy bramie liczna i dobrze uzbrojona straż odpędzała wszystkich.

* * *

Okrutne i zapamiętałe w swej złości władze moskiewskie nie oszczędziły ostatniego upokorzenia o. Maksymiljanowi, a zarazem i naigrawania się z bezbronnych mieszkańców.

Dnia pewnego od strony więzienia dało się słyszeć warczenie bębnow, a potem przeciągłe odgłosy trąb.

Zaciekawieni tem mieszkańcy Konina, tłumnie wylegli na ulice miasta, na których wkrótce ukazał się kroczący od strony więzienia straszliwy orszak....

Na przodzie jego podążał oddział kozaków, za nim szli w szeregach dobosze i trębacze, walący w bębny, trąbiący bez przerwy, za nimi znów szedł oddział piechoty, otaczającej wokoło o. Maksymiljana.

Lecz jakżeż straszliwie on wyglądał!

Parę dni więzienia wyryły na twarzy jego straszliwe ślady.

Pobladł, zmizerniał, twarz jego okryła się zmarszczkami, włosy posiwiały, a wyniosła postać zgarbiła się, pochyliła ku ziemi....

Nadomiar wszystkiego ręce i nogi jego skute były kajdanami, których brzęku nie mogło stłumić warczenie bębnow i odgłos trąb.

Szedł ze wzrokiem wzniesionym do góry, pobladłe usta jego szeptały słowa modlitwy.

Jęk bólu i żalu rozległ się wśród tłumy na ten bolesny i okrutny widok.

Powiódł po zebranych błyszczącym wzrokiem o. Maksymiljan, a gdy rozległy się wołania :

— Ojcie, błogostaw nam.... ojcie, módl się za nas.... — wzniosł do góry obciążoną kajdanami dłoń i szeroki krzyż nadkreślił w powietrzu, mówiąc donośnym, dźwięcznym głosem :

— Boże, błogostaw wam! daj wam mocy do wytrwania i przetrzymania prześladowań wrogów..

A potem zawołał jeszcze głośniejszym :

— Módlcie się za mnie, by mi Bóg dozwolił przetrzymać te męki i cierpienia....

Na widok tak straszliwej męki i pohańbienia wśród tłumu burzyć się poczęto.

Rozlegać się zaczęły głosy, zwłaszcza wśród zacnych rzemieślników konińskich:

— Nie damy go na męki!.... odbijemy go!.... uratujemy....

I tłum zbierał się coraz liczniejszy, coraz groźniejszy.... W niejednych rękach ukazały się kije, zabłyśły siekiery....

Chwila stawała się coraz groźniejszą, zdawało się, że nic już powstrzymać nie zdoła wybuchu.

Spostrzegli to oficerowie, prowadzący wojsko, i zrozumieli, że muszą działać energicznie, jeżeli chcą więźnia bez obawy odbicia go do więzienia odprowadzić.

Rozległy się rozkazy. Zabłyśły w słońcu obnażone szable i kozacy rzucili się z niemi na zebrany tłum....

Krzyk przeraźliwy dał się słyszeć i rażeni szablami ludzie cofać się zaczęli w przerażeniu.

Szable cięły tłum bez litości, brocząc we krwi niewinnych ofiar. Niejeden i niejedna padli ciężko ranni na ziemię, a straszliwy orszak zwycięsko posuwał się naprzód....

Dążył teraz jak najspieszniej w stronę więzienia.

Z tłumu padać zaczęły kamienie na żołnierzy, którzy z rozwścieczeniem nacierali na lud.

Wreszcie dotarto do więzienia z powrotem. Wprowadzono tam śpiesznie o. Maksymiljana, wrota się zatrzasnęły za nim i pozostały tylko silne warty, pilnujące więzienia przed groźnym a milczącym tłumem.

Dnia tego rozpacz i smutek panowały w Koninie.

Nie było bowiem domu, w którymby nie było rannych i pobitych....

* * *

W celi więziennej, mrocznej, wilgotnej, do której ledwie tylko od czasu do czasu, przez wąskie, zakratowane okienko zakradał się złoty promyk słońca, przebywał o. Maksymiljan.

Umęczone ciało jego nie mogło znaleźć wypoczynku na twardych deskach tapczana, ciężkie kajdany wrzynały się w ciało....

A przytem ustawiczne badania, ustawiczne wizyty żandarmów, dręczących już nie ciało, lecz duszę, wnikających w głąb jej, pragnących wyrwać z tajników jej przyznanie się do czynów nie-

popętnionych, a przede wszystkim wskazanie osób które o współudział w czynach jego oskarżali i na męki powlec chcieli.

Lecz i te męki o. Maksymiljan przyjmował z pogodą ducha i poddaniem się.

Na pytania odpowiadał prosto, szczerze, nie przyznając się do żadnej winy.

— Czyż — mówił — miłość Ojczyzny, czyż dążenie do wywalczenia jej wolności za zbrodnię poczytanem być może?....

Zapytywany o nazwiska, odpowiadał, że nic nie wie, że nikogo nie zna.

I tak dni całe spędzał świętobliwy kapłan w swej kaźni, w wolnych od mąk badania chwilach modląc się z brewjarza, który mu prześladowcy drogą wyjątkowej łaski zabrać dozwolili.

Rozczułały go objawy współczucia ze strony współobywateli, którzy, przekupiwszy strażników więziennych, a nawet i oficerów żandarmerji (gdyż do dusz rosyjskich najlepiej przemawia rubel), dostarczali mu i jadło lepsze, i odzież, i bieliznę.

Modlił się też za nich o. Maksymiljan, modlił się i za prześladowców swoich, ażeby Pan oświecił ich, ażeby wywiódł ich z straszliwych błędów i zbrodni, w jakich tonęli.

Podziwiali go nawet okrutni prześladowcy, do

których serca rzadko kiedy uczucia ludzkie przystęp miały.

Zdumiewała ich świątobliwość jego, wytrwałość w cierpieniach, a zwłaszcza to, iż mimo mąk okrutnych, nie wzywał gromów i pomsty nieba na morderców swoich, a przeciwnie, modlił się za nich, błagał Boga o ich oświecenie.

Zachodzili też do niego często oficerowie żandarmerji, prowadząc z nim pogawędki w różnych sprawach życiowych.

Słuchali wywodów jego, tak nowych dla nich, tak różnych od tych, do jakich przywykli, z zajęciem wielkiem.

Aż wreszcie dnia pewnego zaszedł do celi jego jeden z wyższych oficerów żandarmerji i po dłuższej rozmowie z nim rzekł:

— Nu, wiecie, księżę, że wy moglibyście się wyrzec swoich błędów rzymskich. Przyjmijcie naszą świętą wiarę prawosławną, a car batiuszka wnet was pomiluje i łaską swą obdarzy.... Archijerejem was zrobi, order da, do dworu powoła. Będziecie jednym z najwyższych dygnitarzy na dworze carskim....

Spojrzał na niego ze zgrozą o Maksymiljan i cofnął się z przerażeniem.

— Idź precz, szatanie!.... Azaliż nie widzisz, że jestem kapłanem katolickim?... Wiedz, iż życie swe dam z rozkoszą, że na najcięższe męki pójdę.

a wiary mej nie odstąpię. Idź precz, służalcze carski, a dla mnie stryczek szubienicy będzie miłą nagrodą, niż wszystkie ordery i nagrody carskie. Po męce tu na ziemi, przez was zadanej, wiem, że tam, w niebie, czeka mnie nagroda wieczna, a gdybym odstępcą wiary swej został, gdybym się wyrzekł Boga mego dla marnych rozkoszy ziemskich wieczne męki w piekleby mnie czekały....

— Idź precz! — dodał z mocą, wskazując ręką na drzwi celi.

A wyrósł przytem, spotęźniał; wzrok jego zdawał się miotać błyskawice, tak, że oficer przeżony, nie wyrzekłszy już słowa nawet, wyszedł w milczeniu z kaźni.

A o. Maksymiljan, podszedłszy do zawieszonogo na ścianie kaźni krzyża, padł przed nim na kolana i gorąco modlić się zaczął.

Modlił się przedewszystkiem za Ojczyznę umęczoną i rozdartą....

Modlił się za tych braci swoich, którzy walczyli za Ojczyznę i w mękach za nią ginęli....

I za tych, którzy w kazamatach więziennych jęczeli, czekając tam na śmierć, lub też na męczeńską wędrówkę w śniegi Sybiru....

I za tych, którzy tam już męki cierpieli....

I za tych, którzy w słabości ciała i ducha mę-

kom wrogów ulegli, wydali braci swoich na męki i świętą sprawę zdradzili....

Modlił się i za prześladowców, którzy w zaślepieniu swoim znęcali się w okrutny sposób nad umęczonym narodem....

I gdy tak trwał w modlitwie, dusza jego oderwała się od ciała i, porwana przez skrzydła anielskie, uniosła się wzwyż, do nieba, przed tron Boga Przedwiecznego.

I ujrzał tam siedzącego na tronie Stwórcę wszechświata, otoczonego licznym orszakiem świętych męczenników i wyznawców.

A przed tronem Boskim stała Przenajświętsza Paniątka Cząstochowska, mająca przy boku swoim umęczoną Polskę, w płaszczu z purpury królewskiej, z koroną rozbitą na trzy części u stóp, z rękoma w kajdany okutymi....

I Bogarodzica wskazywała Bogu Ojcu na liczny orszak umęczonych, płynących z ziemi polskiej....

Szły biedne dusze w nędzy wielkiej i pohańbieniu, ze śladami cierpień olbrzymich i mąk niewypowiedzianych, a każda z nich dźwigała na sobie krwawe narzędzia mąk, przez wrogów zadanych.

I Bogarodzica mówiła:

— Azaliż dla tych wszystkich męczenników

nie darujesz im, Panie.... nie wskrzesisz im ojczyzny?....

I zagrzmiął głos Boga:

— Nie nadszedł jeszcze czas odkupienia ich. Przecierpią jeszcze mąk wiele, lecz przez krew ich, przez męki olbrzymie odkupioną Polska zostanie. Zmartwychwstanie....

I to ostanie słowo Pańskie potężnem echem podchwyciły chóry anielskie, tak, że rozeszły się one po niebie całym.

— Zmartwychwstanie!.... zmartwychwstanie!..

I dobiegło słowo owo cudowne do uszu o. Maksymiljana, który w zachwyceniu padł krzyżem na ziemię.

Tak zastało go świtanie, w gorącej modlitwie zatopionego.

A o wczesnej porannej godzinie weszli do celi jego żandarmi z żołnierzami, by na sąd go pòprowadzić.

Sąd rosyjski, który nie wysłuchawszy jeszcze skazanego, już wyrok na niego wydał....

Wyrok śmierci, bo tak chciał i car okrutny i zezwierzęceni satrapi jego....

Wielka sala sądu polowego w Koninie podobną była do zwykłej sali restauracyjnej w małym miasteczku.

Rozwidniały ją trzy okna, opatrzone w kraty,

• przez które przedzierały się złote promienie słońca.

Widok z nich rozciągał się na małe, niskie i brudne domy miasteczka, za którymi rozścielały się zielone łąki, łąny zbożowe, kołyszące się złotemi, pełnemi kłosami, na bory ciemne, szumiące zci-cha...

A sama sala?...

Ściany jej okryte były obiciem brudnym, podobieranem, z biegnącemi wokoło ławami, nad któremi widniały czarne plamy od pleców opierających się o nie żołnierzy, żandarmów i podsądnych.

Pod jedną ze ścian, na której w grubej, złoconej ramie wisiał portret cara, zbudowane było wzniesienie, na ćwierć łokcia wysokie, na którym stał wielki stół, okryty malinowem suknem, wokoło którego stały wielkie, ciężkie fotele, obite skórą, dla sędziów.

Na stole stał krucyfix ciężki, srebrny, z bolejącą figurą Tęgo, w imię którego sędziowie wydawać mieli wyroki swoje, w imię którego tyle zbrodni i nieprawości popełniali.

W tej sali, w piękny dzień lipcowy, sądzoną być miała sprawa o Maksymiljana Tarejwy, oskarżonego przez rząd carski o podburzanie do czynów buntowniczych przeciw potężnemu carstwu rosyjskiemu.

Piękny to był dzień, jasny, słoneczny.

W sali, wokoło stołu zasiedli sędziowie, opasli generałowie, w bogato złotym haftowanych mundurach, udekorowani orderami, o twarzach wygolonych, bezmyślnych, lecz pełnych zarazem jakiegoś zwierzęcego okrucieństwa.

Promienie słońca, przedzierając się przez zakurzone szyby i kraty, igrały wesoło i w haftach mundurów i w złotych orderach, otulały pieścotliwie zbolałą postać Chrystusa.

Przed tym sądem właśnie stanąć miał nieszczęsny, umęczony o. Maksymiljan.

Wprowadziło go czterech zbrojnych żołnierzy, tak, jakby ten wątpy, w brunatny habit przyodziany kapłan mógł być groźnym dla tych silnych, uzbrojonych sędziów, reprezentujących potężne carstwo rosyjskie...

Stał on przed nimi, okuty w kajdany, lecz z głową do góry wzniesioną, a pobladłe usta jego szeptały słowa modlitwy...

Zaczęły się rozprawy.

Przewodniczący sądu, opasły generał, przeczytał monotonnym, suchym głosem akt oskarżenia, poczem, zwracając się do oskarżonego, rzekł:

— Nu, batuszka, przyznaj się do winy, żeś ty lud przeciwko prawowitej władzy cara buntował... Żeś go podmawiał do nieposłuszeństwa i na złe drogi prowadził... Przyznaj się, a zarazem powiedz, kto

wraz z tobą w tych zbrodniczych czynach współdziałał, a nasz car miłościwy, łaskaw wielce, winy ci daruje i łaskawie przebaczy..Wyrzecz się błędów swoich, a do wielkich łask i zaszczytów dojdiesz.

Zapłonęły oczy o. Maksymiljana, gdy postyszał tę propozycję...Wyprostował swą zgarbioną postać, wyrósł wprost w oczach, zolbrzymiał, i dźwięcznym, spiżowym głosem, co jak dźwięk dzwonu rozlegał się w wielkiej sali, mówić zaczął:

— Azaliż człowiek może dwom bogom przysięgać? Azaliż może inną macierz ukochać nad tę, która go wykarmiła i wyhodowała? I czyż wy, słudzy carscy, uczynilibyście to?... Czyżbyście wyrzekli się wiary swojej dla zaszczytów i bogactw, czybyście złamali wiarę zaprzysiężoną carowi, gdyby wam za to złote góry dawano? Przemawiam do sumień waszych, o ile je macie, i w nich znajdziecie odpowiedź na to, co mi proponujecie.... Jam przysięgał jednemu Bogu i Jemu służyć chcę do ostatka dni moich.... Ukochałem nadewszystko tylko jedną macierz — Polskę, i choć ona biedna, nieszczęśliwa, uciemężona, tem bardziej kochać ją będą i z radością śmierć za nią poniosę. Jesteście sędziami moimi, w oczach waszych winien jestem i zasługuję na karę, lecz w sumieniu swoim żadnej nie widzę winy. I gdybym wolny był, gdybym nie miał wo-koło siebie straży, a za sobą krat więziennych, po

stokroćbym to samo uczynił.... Tak samo nawoływałbym lud polski, by wszelkimi siłami dążył do zrzucenia znienawidzonego jarzma, by dążył do wyzwolenia z pęt niewoli.

Umilkł na chwilę, mierząc płonącym wzrokiem sędziów, poczem dodał pełnym powagi głosem:

— A teraz mnie sądzicie.... Wiem, że z ust waszych inny wyrok, niż śmierci, paść nie może, gdyż taki macie rozkaz, wy, słudzy carscy.... Sądzicie mnie, a niech sumienie wam powie, czy wyrok wasz słusznym będzie.... Ja ani słowa już na obronę swoją nie powiem.

I zamknął się w milczeniu, złożywszy ręce na piersiach, z oczyma w ziemię utkwionemi, szeptał słowa modlitwy.

Sędziowie słysząc go, siedzieli oniemiałi, po twarzach ich tylko przebiegały wichry uczuć tajonych; zdawało się, że jak ptaki drapieżne rzucą się na niego....

Zaczęła się męcząca procedura sądu.

Przewodniczący zaczął zadawać pytania o Maksymiljanowi, lecz tenże nie odpowiadał mu ani słowem. Tylko ledwie dostrzegalny ruch warg wskazywał, że modli się, modli się za Polskę uciemiężoną, za jej lud nieszczęśliwy i za nich, za przeladowców swoich....

Przewodniczący pobladł z gniewu, zacisnął usta, a gdy o. Maksymiljan nie odpowiadał mu na cały szereg pytań, nie wytrzymał i wybuchnął:

— Ty, batuszka, nie udawaj! Przed sądem stoisz, odpowiadaj na pytania, a to my ciebie...

I uczynił groźny ruch ręką.

A oskarżony spojrzał na niego, szepcząc słowa modlitwy, a w spojrzeniu jego tyle było mocy, tyle potęgi ducha, że przewodniczący spuścił oczy i dalej już spokojnie prowadził obrady.

A ciągnęły się one długo. Zarządzono przerwę obiadową; aż wreszcie gdy zmrok zapadać zaczął, gdy przez okna wdzierać się zaczęły krwawe promienie zachodzącego słońca, tak, że Chrystus na stole sędziowskim stał się cały jakby we krwi skąpany, przewodniczący ogłosił wyrok.

Suchym, drewnianym głosem odczytał go cały, tylko na samym końcu, jakby przykry zgrzyt szkła, rozbrzmiewało:

— Skazany na karę śmierci przez powieszenie.

Wnet potem sędziowie, jakby wstydząc się czynu swojego, porwali się od stołu i wyszli.

O. Maksymiljan wysłuchał wyroku spokojnie, a potem wzniósł oczy do nieba i wyrzekł głosem mocnym:

— Przebacz im, Panie, bo nie wiedzą, co czynią....

Przeżegnał się potem i, otoczony przez straż, odprowadzony został do celi swojej.

Noc otuliła więzienie konińskie czarnym całunem. Po czystym niebie przesuwiał się wielki księżyc, śląc srebrzyste promienie na wszystkie strony.

Przedarł się przez kraty i do celi o. Maksymiljana i oświetlił postać męczennika, leżącego krzyżem na kamiennej posadzce i w gorącej zatopionego modlitwie....

Dotknął z pieśczołą srebrnej głowy jego i pomknął dalej....

A o świtaniu ramienia o. Maksymiljana dotknął się żandarm, dając mu tem do zrozumienia, że czas iść na ostatnią pielgrzymkę, na kaźń....

Podniósł się skazaniec, przeżegnał i głosem spokojnym rzekł:

— Gotów jestem, lecz jako skazanemu na śmierć przysługuje mi prawo żądać kapłana, bym mógł przed nim wyspowiadać się.... Proszę o przysłanie mi kogo z oo. reformatów.

Stropił się żandarm, posłyszawszy to żądanie, i pobiegł do generała, by spytać go się, co mu czynić należy.

Prawo było wyraźne, generał musiał udzielić pozwolenia.

Posłano więc natychmiast do klasztoru, ażeby przybył zakonnik, a tymczasem czyniono przygotowania do stracenia, gdyż władze moskiewskie chciały dokonać go z możliwie wielką pompą.

Przybył zakonnik i zamknął się w celi z o. Maksymiljanem....

Długo trwała spowiedź, aż żandarm i wojsko niecierpliwić się zaczęli.

Wreszcie drzwi się otwarły i stanął w nich o. Tarejwo, mówiąc:

— Gotów jestem....

Zbliżył się do niego kat, by związać mu ręce, lecz męczennik pełnym słodczy głosem rzekł do niego:

— Nie czyń, bracie, tego.... Wszak i tak wam nie ucieknę....

Nie uczyniono więc tego.

Narzucono mu tylko na wierzch habitu białą koszulę śmiertelną, na którą reformata, o. Adrjan Łopatkiewicz, zawiesił stułę.

Przyciskając do piersi brewjarz, ze wzrokiem utkwionym w krzyż, który trzymał przed nim o. Adrjan, męczennik przestąpił próg celi.

* * *

Dzień 9 lipca 1863 r. na zawsze pamiętnym pozostanie w dziejach Konina.

Już w przeddzień po całym mieście rozeszła się wieść o straceniu o. Maksymiljana, i od świtu tłumy ludzi ciągnęły za miasto, na błonia, gdzie

sterczała wzniesiona w ciągu nocy szubienica, i ciemniał wykopany przed nią dół, mający służyć za mogiłę skazańcowi.

Oczekiwano ukazania się strasznego orszaku, a serca wszystkich były dziwnym jakimś niepokojem....

Oczy gorzały nienawiścią, a pięście mimowoli zaciskały się na myśl o tej ofierze przemocy, która za chwilę zginąć miała za świętą sprawę.

Przewidzieli Moskale ten wrogi nastrój tłumu i zawnazsu obsadzili błonia szeregami milczących, zbrojnych żołdaków, za którymi widniały oddziały kozaków.

Wreszcie rozwarły się wrota więzienne, rozległy się tony orkiestry, grającej hymn carski "Boże caria chrani", a za nią postępował oddział konnicy.

Za nią, otoczony przez piechotę i żandarmów, kroczył skazaniec w towarzystwie o. Adrjana, odmawiając głośno psalmy pokutne.

Orszak zamykał cały sąd w błyszczących mundurach i oddział kozaków.

Cały ten pochód skierował się na błonia i zatrzymał się u stóp szubienicy.

Grobowa cisza zapanowała wśród tłumu.

Wystąpił naprzód jeden z oficerów i suchym, drewnianym głosem odczytywać zaczął wyrok.

Zawarczały potem bębny, orkiestra grać zaczęła....

O. Maksymiljan z rozłożonemi rękoma modlił się żarliwie....

Gdy zbliżył się do niego kat, ucałował o. Adrijana i prosił go o błogosławieństwo, poczem, rzucawszy do mogiły brewjarz, czekał końca.

Kat, obnażył mu szyję, a o. Maksymiljan, pobłogosławiwszy go, rzekł:

-- Nawróć się, bracie, z grzechów, w których żyjesz.... Porzuć schizmę, a dostąpisz zbawienia....

Podszedł potem do stryczka, ucałował go i zawołałszy:

— Niech żyje Polska!.... — założył go sobie na szyję.

Żałosny jęk bólu rozległ się wśród tłumu, zagłuszony przez warczenie bębnow i dźwięk orkiestry.

Skazaniec wzniosł oczy do góry i donośnym głosem zawołał:

— W Tobiem, Panie, nadzieję miał, niech nie będę zawstydzony na wieki!

Kat odtrącił stołek, i ciało męczennika zawiśło na sznurze....

Zachwiało się na nim, zakołysało, oblane złotemi promieniami słońca....

Poczem kat obciął stryczek, i ciało runęło do mogiły.

A wtedy stała się rzecz straszna....

Rzecz, od której ludziom włosy na głowie powstawać zaczęły, a zimny dreszcz przebiegł po ciele.

Żywy jeszcze o. Maksymiljan podnosić się zaczął w mogile, dźwigać w niej....

Okrzyki przerażenia dały się słyszeć wśród tłumu, zagłuszone wyciem oszalałego żołdactwa:

— Hurra!... hurra!... hurra!...

Tłumem rzucili się do łopat i żywego jeszcze męczennika zaczęli zasypywać ziemią....

A gdy wyrósł kopiec mogilny, na dany rozkaz rzuciła się na niego cała sfera kozaków, trając kopytami koni, równając z ziemią.

Z muzyką i śpiewem wracali triumfujący barbarzyńcy, a wokoło mogiły pozostał tylko milczący tłum ludzi, na kolanach błagający Pana nad Pany o zbawienie duszy o. Maksymiljana.

Święta ofiara została spełnioną....

* * *

Mroki nocy rozproszyły zgromadzone tłumy.

A gdy północ minęła, wokoło mogiły krążyć zaczęły jakieś cienie tajemnicze....

To zacni mieszczanie, nie mogąc znieść, by

zwłoki męczennika w niepoświęconej ziemi spoczywały, podsunęli się ostrożnie, i odgrzebywać je poczęli.

Wydobyto je z ziemi, obmyto, przyodziano w habit przystojnie, a złożywszy w przyniesioną trumnę, poniesiono na cmentarz, gdzie w zawczasu wykopanej mogile złożono.

Wzniesiono na niej krzyż wielki z koroną cierniową, a choć na nim żadnego nie było napisu, każdy wiedział, że pod nim zwłoki męczennika spoczywają.

I w każdą wiosnę zdoła się ta bezimienna mogiła w przepiękne kwiecie białe i czerwone.

Nawet dziecię wskaże ją ciekawemu przechodniowi, a wśród mieszczan konińskich krążą o niej przeróżne legendy....

Nie tak straszny los spotkał pozostałych zakonników klasztoru w Łądzie.

Stawieni przed sądem, skazani zostali na zesłanie do robót ciężkich na Syberji, gdzie lata długie w Tuncie w mękach spędzili.

A nazwiska ich były: przeor o. Emiljan Ołtarzewski, wikary o. Eugenjusz Nienaltowski, zakonnicy oo. Karol Charkiewicz, Aleksy Fijałkowski, Bazyli Lasota, Cyrjak Słotwiński i Konrad Perzyński.

OO. Wacław Ołtamek i Andrzej Ostrowski, jako obcy poddani, odesłani zostali do Prus i Austriji.



